

Zdzisław Zylla

## RELACJE I WSPOMNIENIA





**Zdzisław Zylla**  
**(1922 - 1987)**

*Byłem tylko żołnierzem i Polakiem*

## Życiorys

Urodziłem się dnia 1.07.1922 r. w Ruszkach, byłej gminie Rybno, powiat sochaczewski, województwo warszawskie z ojca Franciszka i matki Władysławy, z domu Jędrzejczak. Ojciec z zawodu agronom. Wszyscy narodowości polskiej. Ojciec mój zmarł w 1925 r., a matka wyszła ponownie za mąż. Z rodzeństwa mam siostrę Ewę, ur. w 1920, zamieszkałą obecnie w Oliwie i przyrodniego brata Krystiana Kierejewskiego, ur. 1928, zamieszkałego w Wylatowie k/ Mogilna. Ojczym również agronom i były uczestnik Powstania Wielkopolskiego. Ukończyłem szkołę podstawową w Aninie k/ Warszawy. Z powodu niemożliwości dostania się do szkoły średniej podjąłem pracę w drukarni i fabryce kartonaży „Logotyp” w Warszawie. W czasie od 31.01.1938 r. Do 25.08.1938 r. zwolniony z powodu redukcji. Dnia 17.01.1939 r. otrzymałem pracę w Państwowych Zakładach Fabryka Samochodów „Ursus” k/ Warszawy. Pracując chodziłem do przyfabrycznej szkoły mechanicznej do wybuchu II wojny światowej. Mieszkalem wówczas w Pruszkowie, a rodzice w k/ Słowa, powiat sochaczewski. Należąc do przyfabrycznego oddziału Przysposobienia Wojskowego, wysłany wraz z innymi w konwój ewakuowanych urządzeń fabrycznych. Po rozbiciu transportu kolejowego pod Dębami Wielkimi przez lotnictwo niemieckie, wróciłem z bronią do Warszawy, gdzie w punkcie werbunkowym przy ul. Wareckiej wstąpiłem ochotniczo do 1 Robotniczo-Ochotniczego Pułku Obrony Warszawy<sup>1</sup> z przydziałem do 3 Batalionu z m. p. w koszarach Przysposobienia Wojskowego na ul. Ciepłej, biorąc udział w obronie stolicy, raz z łopatą przy budowie okopów, a innym razem z karabinem jak dowództwo rozkazało. Po kapitulacji Warszawy nastąpiło złożenie broni w Cytadeli Warszawskiej, gdzie nam, ochotnikom, Polskie Władze Wojskowe poleciło wydać cywilne ubrania porekruckie z magazynów wojskowych w Cytadeli i zwolnić z obowiązków. Przy wyjściu z Warszawy, schwytany przez Niemców uciekam w Ożarówie do Włoch k/ Warszawy, wracając po kilku dniach do rodziców w majątku Załusków k/ Słowa. W tymże majątku podjąłem pracę jako pomocnik kowalski i traktorzysta.

W 1941 r. za namową kolegów wstąpiłem do Ruchu Oporu, późniejsze AK, Kompanii Ziemi Sochaczewskiej, działającej w tamtejszym terenie, zajmujące się kolportażem prasy podziemnej, przyjmujące pseudonim „Ulisses”. Dnia 1.08.1944 r. zostałem powołany do zgrupowania i przez Puszcę Kampinoską po podjęciu zrzutu lotniczego wraz z oddziałem udałem się do Warszawy, biorąc udział w powstaniu na terenie Żoliborza w okolicy Placu Henkla. Dowódcami byli kpt. „Mściśław”, por. „Zawieja”, por. „Janusz”, a później w Warszawie por. „Wiktor”. W tymże powstaniu uległem dwukrotnej kontuzji głowy i w ostatnich szturmach niemieckich ranny w nogi odłamkiem pocisku czołgu „Tygrys”. Po upadku powstania ranny, wywieziony przez Niemców do szpitala w Pruszkowie. Po przeszło dwóch miesiącach leczenia, przy obcej pomocy uciekłem w obawie przed wywiezieniem do Niemiec. Dopiero przy końcu grudnia 1944 r. dotarłem do rodziny w Załuskowie, gdzie nadal ukrywałem się do chwili wyzwolenia w styczniu 1945 r. przez wojska radzieckie.

Dnia 9.04.1945 r. zostałem powołany do LWP jako szofer - kierowca. Przez punkty werbunkowe w Kutnie i Łodzi do Łowicza, gdzie sformowano 8 Samodzielny Batalion Samochodowy przy 5 Dywizji Artylerii Ciężkiej<sup>2</sup> 1 Armii<sup>3</sup>. Po uzupełnieniu jednostki w pojazdy samochodowe wraz z 5 Dywizją wyjeżdżamy do Niemiec, pełniąc służbę w podwozach amunicji, sprzętu, żywności i paliw szlakiem Kostrzyn nad Odrą - Berlin. W czerwcu i lipcu 1945 r. nastąpił powrót z Niemiec do Torunia m. p. Rudach.

---

1 Właśc. 1 Robotniczy Pułk Piechoty

2 Właśc. 5 Dywizja Artylerii (5 DA)

3 Tj. 1 Armii Wojska Polskiego

Po reorganizacji 5 Dywizji na 13 Warszawską Brygadę Artylerii Ciężkiej<sup>4</sup> jako bombardier, później kapral w sztabie brygady na stanowisku kierowcy dowódcy brygady.

W dniu 11.04.1947 r. przeniesiony do 1 Okręgowej Kompanii Samochodowej DOW I w Warszawie, pluton samochodów osobowych sztabu DOW I. Dnia 5.07.1947 zostałem zwolniony w stopniu kaprała, odznaczony „Brązowym Krzyżem Zasługi”, „Medalem Zwycięstwa i Wolności” oraz „Odznaką Grunwaldzką”. Wróciłem do rodziny zamieszkałej w Targowicy k/ Mogilna, gdzie ojczym posiadał 10 ha ziemi z Reformy Rolnej. W latach 1948-52 należałem do Samopomocy Chłopskiej, gdzie w latach 1950-52 pełniłem funkcję sekretarza i prezesa Gromadzkiego Koła Samopomocy Chłopskiej w Wylatowie k/ Mogilna. Od dnia 18.12.1952 przenoszę się do Mogilna, zawierając związek małżeński ze Stefanią Seidler ur. 1920 r., córką kolejarza, który w czasie okupacji przebywał na wygnaniu na terenie tzw. Guberni Generalnej. Żona w 1962 odziedziczyła domek jednorodzinny starej budowy, całość posesji ok. 13 arów. Od 6.05.1953 r. podjąłem pracę w przedsiębiorstwie PKP w Bydgoszczy jako funkcjonariusz SOK. Dnia 1.01.1957 r. przenoszę się do Mogilna na stację PKP jako Nastawniczy I kl. Z mego małżeństwa urodziły się dwie córki: Ewa, ur. 23.05.1954, i Danuta, ur. 19.02.1958 r. W 1973 na skutek utraty zdrowia i decyzji Komisji lekarskiej (KiZ) z uznaniem trzeciej grupy inwalidzkiej zostałem przeniesiony ze służby ruchu p. o. operatora wagonowego. Nadmieniam, że przed tym w marcu 1948 r. przez Inwalidzką Kom. Rew. Lekarską w Poznaniu zostałem uznany jako inwalida wojenny z 5% utraty zdrowia. Z tytułu pracy na PKP uzyskałem odznaczenie resortowe „Przodujący kolejarz”. Dnia 18.05.1974 wręczono mi przez Powiatowy Sztab Wojskowy „Medal za Udział w Walkach o Berlin”. W lutym 1976 otrzymałem przez Związek Inwalidów Wojennych „Medal za Warszawę”. W styczniu 1977 wręczono mi przez ZBoWiD Brązowy Medal „Zasłużonym na Polu Chwały”. Z powodu dalszego pogarszanie się stanu zdrowia w lipcu 1975 Obwodowa Komisja Lekarska przyznała mi drugą grupę inwalidzką i na skutek tego od 1 listopada 1975 przeszedłem na rentę. Na ponownym badaniu 16.03.1977 otrzymałem drugą grupę na stałe i jednocześnie przyznano trzecią grupę wojenną. Jestem członkiem PZPR. Komendant WKU w Inowrocławiu mianował mnie honorowo z dniem 9.05.1976 do stopnia plutonowego. Jestem członkiem Krajowej Spółdzielni Hodowców Drobного Inwentarza, będąc członkiem zarządu Zw. Hod. Drobного Inw. Koło w Mogilnie. W latach 1960-74 członek plenum Rady Zakł. Z. Z. K. od 1960, pełniąc później funkcję skarbnika, a od kwietnia 1970 do lutego 1976 jako przewodniczący Rady Zakł. Z. Z. K. przy stacji Mogilno i inne funkcje z tym związane. Członkiem Związku Inwalidów Wojennych, byłym Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej i obecnie członkiem zarządu ZiW w Mogilnie. Członkiem ZBoWiD Koło nr 2 w Mogilnie i obecnie pełniąc obowiązki Przewodniczącego Komisji Socjalno-Bytowej w tym kole. Karany nigdy nie byłem.

**Zdzisław Zylla**

---

4 Właśc. 13 Brygada Artylerii Ciężkiej (13 BAC)

## Relacje - Wspomnienia

Wybuch drugiej wojny światowej we wrześniu 1939 r. zastał mnie w miejscu zamieszkania, tj. w Pruszkowie, ul. Ogrodowa nr 23. Miałem wówczas 17 lat. Wojna - tą nowiną obudziła mnie lokatorka tego domu, a moja gospodyni. Mieszkałem sam, rodzice zamieszkiwali w Załuskowie k/ Iłowa, ówczesny powiat sochaczewski. Byłem uczniem Szkoły Mechanicznej - Zakładowej i pracownikiem Państwowych Zakładów Inżynieryjnych - Fabryka samochodów ciężarowych w Ursusie k/ Warszawy. Fabryka produkowała sprzęt dla celów wojskowych. Tego dnia w fabryce zmorzono kontrolę osobową przez wojsko. Dnia tego praca była gorączkową, doszło do kopania schronów i tegoż dnia widzieliśmy nieprzyjacielskie samoloty lecące na bombardowanie Warszawy, sami też odczuliśmy pierwszy nieudany nalot. Nieudany, gdyż artyleria przeciwlotnicza rozproszyła te, które skierowały się na fabrykę. My, młodzi uczniowie, byliśmy obowiązkowo zorganizowani w szkoleniu wojskowym. Trzeciego września polecono nam przybyć w mundurkach. Wydano karabiny, ostrą amunicję, załadowano do wagonów z różnymi maszynami i jako konwój wyjechaliśmy z Ursusa przez Warszawę na wschód. Dopiero następnego dnia dotarliśmy na stację Dęby Wielkie, gdzie zostały zbombardowane tory kolejowe i część transportu, w którym również jechało dużo osób cywilnych opuszczających Warszawę. Nasz mały oddziałek, około 30 osób, nazwiska dowódcy nie pamiętam, wyruszył dalej pieszo i wkrótce poszedł w rozsypkę. Ja z jednym kolegą dotarliśmy do miasteczka Latowicze, skąd postanowiliśmy wracać do Warszawy i do domu. Byliśmy naoczniymi świadkami bombardowania i zapalenia się miejscowości Latowicze.

Po wyjściu na szosę zlitowali się nad nami lotnicy jadący samochodem do Warszawy i nocą pojechaliśmy do Warszawy na Pragę. Wyżywienie było przypadkowe i jak kto coś sobie zdobył. Prawo wstępu do lewobrzeżnej Warszawy trzeba było zdobyć odrobinem w postaci kopania okopów. Już 7 września 1939 r. byłem z powrotem w Warszawie. Tam odwiedziłem dalszą krewną na ul. Nowowiejskiej, potem wyszedłem na miasto, gdzie dowiedziałem się, że na ul. Wareckiej pod nr 7 przyjmują ochotników do obrony Warszawy. Grupa wojskowa z kapitanem na czele przyjmowała ochotników. Będąc przy broni poczułem się zobowiązany, ale najpierw usłyszałem nieprzyjemny epitet: „Czego tu smarkaczu szukasz? Wracaj do mamy!” Dopiero po wyjaśnieniu, że z Warszawy w kierunku Sochaczewa już nikogo nie wypuszczają oraz na moje po prostu błaganie i to, że byłem w mundurku i z bronią którą do tego czasu miałem - zostałem przyjęty. Wraz z innymi byłem skoszarowany, umundurowany i uzbrojony w koszarach. Zaliczyli nas jako trzeci batalion Ochotniczego Pułku Obrońców Warszawy. Różna była służba. Ratowaliśmy ludność cywilną ze zburzonych i palących się domów, jak również pełniliśmy służbę w pełni uzbrojeni w okopach na Pradze. Często kopaliśmy okopy i rowy łącznikowe, np. na Mokotowie i Pradze. Nazwiska dowódcy batalionu nie pamiętam, był majorem. Jedynie utrzymało mi się jedno nazwisko, tutaj - por. Tuta. On to miał nade mną pieczę w sztabie batalionu, do którego wzięto mnie na gońca po lekkiej kontuzji jakiej uległem podczas powrotu z Pragi przez bombardowany artylerią nieprzyjaciela most Poniatowskiego. Nasze koszary przy u. Ciepłej po jednym z bombardowań również stanęły w ogniu. Przeniesiono nas na Żoliborz i rozlokowano w domach willowych. Tam dotarła do nas wieść o kapitulacji Warszawy. Było zdumienie w szeregach, płacz i bunt, że nie oddamy broni. Dopiero po wielu perswazjach dowódców, że niestety taka jest konieczność, skierowano nas do Cytadeli, gdzie złożyliśmy w kozły broń.

Wydano nam z magazynów worki porekruckie z cywilnym ubraniem, kazano się przebrać, mówiąc że na ochotnikach Niemcy mogą stosować specjalne sankcje, po czym kazano rozejść się, gdzie kto chce. Nadal

chciałem dotrzeć do rodziny i następnego dnia pieszo ruszyłem w podróż przez wolę do Sochaczewa. Byłem pół cywil, pół wojskowy. Miałem na sobie ubranie cywilne, ale plecak wojskowy z rzeczami osobistymi i prowiantem oraz wysokie po kolana, brązowe buty z cholewami, których to rzeczy szkoda mi było się pozbyć i to mnie zgubiło.

Przy granicach Warszawy Niemcy wyłapywali żołnierzy, a nawet cywili, łączyli w grupy, które prowadzili szosą sochaczewską. Mnie starsi namówili do ucieczki. Byłem młodzieńcem wobec innych, więc może się uda. W czasie krótkiego postoju w Ożarowie nieznacznie oddaliłem się od grupy, po czym odskoczyłem w ogródki i nie zatrzymywałem się przedziej, aż u ciotki we Włochach k/ Warszawy, skąd po kilku dniach ponowiłem próbę dotarcia do domu. Gdy po wielu jeszcze perypetiach, późnego wieczoru październikowego, przebyłem pieszo i trochę furmanką trasę ponad 70 km przez Błonie, Sochaczew i Iłów i wreszcie dotarłem do wpół zburzonego domu, rodziców zastałem całych i zdrowych.

W czasie okupacji, ojczym - powstaniec wielkopolski, który był agronomek na folwarku Całusków, ulokował mnie w kuźni majątkowej jako pomocnika kowalskiego, gdzie pracowałem do lipca 1944 r. W tym czasie pracowałem jako pomocnik kowalski, maszynista omłotowy, traktorzysta i w końcu tzw. „Futurmeister” - podwórzowy. Były dwa majątki pod jedną administracją: niemiecka, tj. Całusków i Brzozów k/ Iłowa, w których na przemian mieszkalem i pracowałem. Zarządcami kolejno byli: hakatysta Kopf, który lubił bić Polaków, od którego też dostałem lanie za popsucie traktora oraz von Witzleben, dużo łagodniejszy w obchodzeniu się z Polakami. W połowie roku 1941 zwrócił się do mnie kolega, będący listonoszem, nazwiskiem Popielarek Marian z Iłowa, z propozycją wstąpienia do ruchu oporu, na co chętnie wyraziłem zgodę.

W asyście innego, nieznanego mi, odebrał przysięgę na wierność służbie i Polsce. Było ich trzech braci: Marian, ps. „Kordian”, Henryk i ułomny na jedną nogę Józef. Pseudonimów ich nie pamiętam. Jak się później okazało była to jednak AK Kom. Ziemi Sochaczewskiej, Oddział Puszczy Kampinoskiej. Praca polegała na gromadzeniu broni i amunicji, której w tutejszych okolicznych lasach i u mieszkańców można było znaleźć dużo po rozbitych jednostkach Wojska Polskiego, opiece nad mogiłami poległych żołnierzy, których to w okolicy było dość dużo. Dalej kolportowanie prasy podziemnej, jak „Biuletyn”, „Rzeczpospolita” i inne gazetki.

Gazetki te stosownie do potrzeb moja siostra przepisywała na maszynie (pracowała w biurze majątku) do dalszego rozprowadzania. Prowadziła również szkolenie sanitarne. Mój młodszy brat przyrodni, Kierejewski Krystian, był czasem angażowany za posłańca. Posiadałem broń krótką „Parabellum” wraz z amunicją. Za moją przyczyną w roku 1942 została zwerbowana Rowińska Regina z Brzozowa, ps. „Wisła”, obecnie zamieszkała w Warszawie, ul. Poznańska 12 oraz w maju 1944 roku Silski Marian, ps. „Fergus” z Gaju k/ Gniezna, który ukrywał się w naszym domu nie chcąc wracać po przepustce na roboty przymusowe do Niemiec. Zamieszkuje obecnie w Poznaniu, ul. Janikowska 27. Należała Zofia Bednarska z Kaptur, państwo Czerkascy, on kierownik szkoły i aptekarz z Iłowa. To ci, o których wcześniej wiedziałem. W ostatnich dniach lipca dostałem z Silskim wezwanie do stawienia się w oddziale. Moja matka wiedziała o wszystkim, jeszcze błogosławiła na drogę. Miejsce spotkania było wyznaczone w Budach Starych za Iłowem, gdzie oczekiwał na nas łącznik i skierował do miejsca zgrupowania w lasach za Iłowem. Po kilku dniach oddział liczył ponad 100 ludzi. Dowódcami byli kpt. „Mścislaw”, por. „Zawieja” i por. „Janusz” - Marian Sitek.

W oddziale spotkałem znajome osoby, które znałem ale z powodu trudności konspiracyjnych nie wiedziałem, że należą. Byli: Stanisław Gruszczyński z Brzozowa, obecnie zamieszkały w Sochaczewie, Figaszewska Henryka spod Iłowa, Gzula Stanisław, ps. „Zygfryd”, z Bieniaw i jeszcze inni, których nazwiska

i pseudonimy czas zatarł w pamięci. Mnie uzbrojono w polską rusznicę przeciwpancerną z trzema magazynkami. Uzbrojenie oddziału było różne: karabiny, trzy, względnie cztery karabiny maszynowe, jeden ciężki karabin maszynowy, trzy rusznice, granaty ostre, tzw. „Sidelówki” i sporo broni krótkiej różnego typu. Drużyna dowódcy uzbrojona była w „Steny”, tabor złożony z czterech wozów załadowanych żywnością, sprzętem sanitarnym i amunicją. Przejście do Puszczy Kampinoskiej z ludźmi o różnym wieku i doświadczeniu na pewno nie należało do łatwych. Samo przeprawienie przez Bzurę mieliśmy przebyć w pław, na łodziach, a to z powodu silnego obstawienia przez Niemców mostu na Bzurze we wsi Witkowice.

Przed dojściem do większego zgrupowania powstało zamieszanie i pogłoska o rozwiązaniu oddziału. Przyczyn nie znam, ale z obozu zniknął kpt. Mściśław i pewna ilość ludzi. Powstało zwątpienie. W tym czasie już dowiedzieliśmy się o wybuchu Powstania Warszawskiego. Sytuację opanował i dowództwo przejął por. Zawieja i z por. Januszem doprowadzili nas do większego zgrupowania partyzanckiego - „Szymona” czy „Doliny”, dokładnie już nie pamiętam. Była nawet konnica. Dołączył do nas pchor. „Ryś”. Po parodniowym odpoczynku ruszyliśmy w kierunku Warszawy. Pewnej nocy nasz oddział podjął zrzut samolotowy. Cała masa amunicji, granatów, RKM-y „Bren”, wyrzutnie przeciwczołgowe „Piaty”, miny plastikowe, leki, opatrunki i inne rzeczy.

Wszystko opakowane w zasobnikach w rzeczy użyteczne jak bluzy, swetry, spodnie i berety wojskowe angielskie na spadochronach nylonowych. Wszystko to rozebraliśmy w miejscowości Laski i po tym dalej wymarsz do Warszawy.

Byliśmy oddziałem bardzo silnie uzbrojonym, choć na pewno jeszcze niedoświadczonym. Kazano nam zostawić rzeczy osobiste, żeby można zabrać jak najwięcej broni i amunicji. Byliśmy obładowani do granic wytrzymałości. Nie wiem jakimi drogami i przejściami dotarliśmy do Warszawy na Żoliborz nocą z 14 na 15 sierpnia 1944 r. Następnego nocy, z 15 na 16, nasz oddział poszedł w pierwszy bój. Na tyle co ja wiem, to mieliśmy w pewnym miejscu zaatakować Niemców, w przez nas zwanym Instytucie Chemicznym, skupić uwagę na sobie, nie wiążąc się w długą - dłuższą walkę, by część przybyłych oddziałów leśnych przegrupować w inne dzielnice.

Byłem wyposażony w RaKaM i broń krótką. Oddział nasz został prawie wybity. Niewielu nas stamtąd wróciło. Mój amunicyjny zginął. W świetle rakiet widziałem jego ciało, uniesione do góry siłą wybuchu pocisku. Zaraz po tym ja zostałem rażony wybuchem. Zgubiłem trochę orientację, trochę ogłuchłem, prawie oślepy poczułem, że krwawię, zacząłem się wycofywać. Trafiłem do naszej placówki daleko od wyjścia. Krótka wizyta w szpitalu przy placu Wilsona. Rany powierzchniowe, jeden odłamek wgnębił się do kości prawego przedramienia poniżej łokcia i pozostał do dnia dzisiejszego, kontuzja głowy po minie. Spotkała mnie nasza siostra sanitariuszka Rowińska, ps. Wisła i zabrała mnie na nasze kwatery przy ul. Krasińskiego 25. Następnego dnia znów atak na Dworzec Gdański i znów kilku naszych nie wróciło. W czasie krótkiej rekonwalescencji uległem ponownie kontuzji od wybuchu pocisków. Po tych starciach przeniesiono nas do kwatery przy ul. Brodzińskiego. Dowództwo zgrupowania „Żyrafa” połączyło nasze resztki z oddziałem por. „Wiktora” z miejscem dowodzenia przy ul. Kochowskiego, narożnik ul. Niegolewskiego. Pisarz, autor książki „Rapsodia Żoliborska” - Podlewski, na str. 329 wymienia osoby „Jutrzenki” - Figaszewskiej oraz „Wisły” - Rowińskiej, a na str. 328 - fotografia naszych dowódców - por. „Janusza” i por. „Wiktora”. Nastąpiła służba w punktach oporowych. Przez cały czas, dzień i noc, Niemcy ostrzeliwali nas, bombardowali ogniem... W dzień, od świtu do nocy, bez przerwy samoloty „Sztukasy”, a w nocy artyleria i pociski „ekrazytówki”, które pękając siały niepokój. Największe punkty ognia niemieckiego to Cytadela, Dworzec Gdański i Instytut Chemiczny. Było ciężko, choć i zdarzały się weselsze momenty. Silski - „Fergus” - ranny w nogę, z postrzeloną kością umieszczony został w szpitalu na

ul. Krechowieckiej. Popielarkowie zginęli, z bliskich pozostał „Zygryd” - Gzula oraz przyjaciele: pchor. „Ryś”, „Wisła” i „Jutrzenka”. Reszta towarzyszy nieznana mi bliżej, ale zaprzyjaźniona. Zginął również por. „Zawieja”, pochowany przy ul. Niegolewskiego. Odbył się ślub pchor. „Artura” - Artur Wiśniewski z „Jutrzenką” - Figaszewską Henryką. Tylko uczta się nie udała bo przed rozpoczęciem uczty wygonił nas obstrzał, a po powrocie to, co było przygotowane, zostało zasypane gruzem. W międzyczasie odbył się zrzut lotniczy sił zachodnich. Po zrzutach początkowo myśleliśmy, że to pomoc desantowa. Niewiele dostało się w ręce powstańców. Zrzut był z dużej wysokości i bezładny, choć była tego cała masa. Bardzo dużo nalotów transportowych była pod osłoną samolotów myśliwskich. Nawet Niemcy przycichli. Widok był naprawdę imponujący. Miejscami odbyły się walki z Niemcami o podjęcie zrzutki. Po zajęciu Pragi przez wojska radzieckie samoloty i artyleria przeciwlotnicza siały w nich popłoch, tylko artyleria nadal nas nękała.

Nastąpiły nocą zrzuty radzieckie. Ciche jak duchy samoloty dwupłatowce, zwane przez nas nie wiem dlaczego „Kukuruźniki”, zrzucały nam z bardzo niewielkiej wysokości broń, amunicję, granaty i żywność, której braki dawały się już mocno odczuć. Dużo broni i amunicji z powodu niskiego zrzutu ulegała uszkodzeniu. Rusznikarnia nasza przy ul. Próchniaka robiła co mogła, by uszkodzenia usunąć. Próbną strzelnicą była na ul. Tuzina w podwórzu kina. Zasobniki z żywności zrucane były bez spadochronów w kształcie walca, ostrosłupa ze statecznikami, statecznikami tym, że skośne zakończenie było próżnią która amortyzowała zetknięcie z ziemią. Natomiast suchary z chleba razowego zrucano w workach. Wówczas te suchary podpieczone na oleju był to lepszy rarytas niż świąteczne ciasta. Był jeszcze upragniony przez nas tytoń. Nastąpiły ostatnie dni powstania. Było to 27 czy 28 września, gdy Niemcy przypuścili ostatni szturm i uderzyli całą siłą. Maiłem służbę za placem Henkla od strony Instytutu Chemicznego we wnęce strzeleckiej, zabezpieczonej trochę nad głową z otworem strzelniczym. Zabezpieczony w angielski „Bren”, granaty i miny plastikowe. Kolega miał „Stena” i dodatkowe magazynki do „Brena”. Wnęki strzeleckie znajdowały się dość blisko siebie, połączone rowem łącznikowym za i wzdłuż obecnej ul. Stołecznej z wyjściem w jednym końcu dziurą w murze na Plac Henkla, na którym była nasza placówka, w domu prawdopodobnie należącym do „Caritasu”. Nadjechały czołgi „Tygrysy”, za nimi oddziały szturmowe. „Tygrysy” zaczęły ostrzeliwać cały rów łącznikowy, pociski padały często i celnie, bo z bliska. Ogień był obustronny, ale nierówny. Udało się lewemu posterunkowi z „Piata” uszkodzić gąsienicę czołgu jadącego na nas. Ale wieża prowadziła ogień dalej. Pocisk wpadając do rowu zabił mi towarzysza, zginął na miejscu. Odłamek drugiego pocisku trafił mnie w nogę. Poczułem mokro i ciepło, to była moja krew. Zacząłem się wycofywać. Uszkodzony czołg zaczął ostrzeliwać seriami z broni maszynowej. Udało mi się na brzuchu dotrzeć do placu Henkla. Ulica była pod silnym ostrzałem niemieckim, mimo to chciałem dotrzeć do naszej placówki. Ze strzelnicy dołączył do mnie „Zygryd”, który wyskoczył do mnie i szczęśliwie dociągnął do środka. Dostałem zastrzyk i opatrunek. Bólu nie czułem. Leżąc na noszach ładowałem jeszcze magazynki do pistoletów maszynowych. Wkrótce patrol sanitarny przeniósł mnie do punktu dowodzenia, gdzie było już wielu rannych. Między innymi „Wisła” ranna w nogę. Z punktu dowodzenia przy ul. Kochowskiego wynoszono nas rannych oknem piwnicznym na tyły o kilka domów dalej, gdzie w piwnicy dużego domu był mały szpital. Wkrótce wpadły pierwsze patrole niemieckie, patrole z sojusznicznymi żołdakami, Ukraińcami czy też Łotyszami, dokładnie już nie pamiętam, ci byli najgorsi. Wściekłość ich była okropna, toteż pierwsze ich zwycięskie kroki ścielili trupami. Wiele jeszcze ludzi zginęło przy tym. Dokładnymi datami to obecnie trudno operować, człowiek sam się wtedy gubił, ale następnego dnia Niemcy kazali nas poprzemnieść na ulicę Krechowiecką do głównego szpitala powstańczego. Tam na placu i na noszach leżałem jak i wielu innych. Cały



dzień szpital był w trakcie ewakuacji. Rannych wywożono samochodami. Wieczorem przyszła moja kolej. Załadowano nas ile się tylko dało, nawet jeden na drugiego. Jazda nie trwała długo, ale dla nas była to istna męczarnia, tym bardziej, że nie wiedzieliśmy gdzie i w jakim celu. Jak to można odczuć to zrozumie tylko ten, który podobnie to przeszedł. Już w ciemnościach wyładowano nas, przewieziono do budynku i w dużej sali ulokowano na łózkach. Już dwa dni bez opatrunku i bez jedzenia. Pojawiły się siostry zakonne z gorącym napojem. Były to Tworki k/ Pruszkowa, szpital dla psychicznie chorych. Leczenie było prymitywne. Niemcy pozbiali naszym wszystko, nawet bandaże. Zamiast bandaży rany miałem zawijane papierem toaletowym. Stwierdzono nawet, że środki usypiające przy operacjach też były zatrute. Dopiero później nasi lekarze i siostry zakonne potrafili zorganizować pomoc i sprowadzać to, co było potrzeba z różnych stron, najwięcej z Krakowa.

Dużo pomocy dali patrioci z Generalnej Guberni, tak zwana wówczas Rada Główna Opiekuńcza. Sam otrzymałem dwukrotnie łącznie kilkanaście tysięcy złotych w gotówce i do dziś nie wiem z jakiego to źródła. Jako były mieszkaniec Pruszkowa nawiązałem kontakt ze znajomymi i kolegami, którzy udzielili od czasu do czasu pomocy w dostarczaniu żywności. Ale bali się przychodzić, gdyż znali to, co działo się w obozie w warsztatach kolejowych. Pomocy w dożywianiu udzielała mi siostra mej matki z Włoch k/ Warszawy - Wizjerowa, zamieszkująca obecnie w Warszawie oraz Seidler Joanna, zamieszkująca obecnie u mych krewnych Kierejewskich w Grodzisku Mazowieckim, obecnie zamieszkała w Gdańsku. Mając tak bogate źródła dostawczy żywności można było dostatecznie uzupełnić porcje szpitalne i jeszcze podzielić się z towarzyszami niedoli. Przy końcu listopada rozeszła się pogłoska, że ma nastąpić wywożenie ozdrowieńców do Niemiec. Odwiedzał mnie również oficer wojsk węgierskich - por. Elek Istwan, który jak się później okazało, stał się przyjacielem naszego domu, obecnie obywatel polski, zamieszkały Gdańsk - Oliwa. W pierwszych dniach grudnia 1944 roku przyjechała żona kierownika szkoły, o której już wspominałem - p. Czerkaska - wraz z Węgrem por. Elek. Przy ich pomocy, korzystając z ruchu odwiedzających przeszliśmy przez portiernię i wsiedliśmy do kolei E.D.K. przed bramą szpitala, i pojechaliśmy do Grodziska Mazowieckiego. Następnego dnia dorożką do Błonia, pociągiem do Sochaczewa i 20 km zamówioną furmanką państwa Czerkaskich. Cały czas pod troskliwą opieką mej opiekunki odchorowałem tę podróż grudniową i mroźną wydelfikowany szpitalnym łóżkiem, ale na wigilię Bożego Narodzenia byłem już w domu, przewieziony w piernatach na ramie rowerowej przez por. Elka. Radość powrotu mąciła myśl o tych, którzy już nie powrócą. Nadal pozostawałem jeszcze w ukryciu, ale Niemcy mieli już czym innym się martwić. W końcu nastąpił popłoch i gwałtowna ucieczka, i w końcu stycznia 1945 r. wkroczyły wojska radzieckie.

Nastąpiła długo oczekiwana wolność. W marcu 1945 r. stawiłem się na komisji poborowej w Sochaczewie i wkrótce otrzymałem wezwanie na 9 kwietnia do stawienia się do Ludowego Wojska Polskiego. Znów pożegnania z rodziną i przyjaciółmi, i przez RKU Kutno przedzielony zostałem do Łodzi. W Łodzi masa poborowych młodych i starszych, zgrupowanych w jakiś halach fabrycznych i grupami branych do uzupełnienia z różnych jednostek LWP. Pozostała reszta, okazało się, że kierowców pojazdów mechanicznych, około 100 ludzi, skierowano do Łowicza i w tak zwanych koszarach czerwonych na Blichu skoszarowano, i utworzono 8 Samodzielny Batalion Samochodowy przy 5 Dywizji Artylerii Ciężkiej 1 Armii. Po kilku dniach, jeszcze w cywilnych ubraniach zaczęliśmy odbierać samochody z Warszawy. Były to ZIS-5 i Gazy.

Batalion podzielono na dwie kompanie. Pewnej nocy wyjechały z koszar wojska artyleryjskie z ciężkimi działami na ciągnikach gąsienicowych, a potem w przyspieszonym tempie nasz batalion umundurowano. Załadowaliśmy samochody paliwem, żywnością i innym sprzętem wojskowym i nocą nastąpił wyjazd przez

Kutno w kierunku Poznania i dalej przez Gorzów Wielkopolski i Kostrzyn przez Odrę.

Byliśmy na wrogiej ziemi i bliżej Berlina. W Wandlitz spotkaliśmy naszą artylerię. W czasie jazdy nastąpił wyładunek i załadunek pojazdów i po tym jazda dalej. Za Herzfelde doszła do nas wiadomość o zdobyciu Berlina. Następnego dnia nasz batalion był w Berlinie. Z radością i mściwością patrzyliśmy na ruiny i zgliszcza wrogiej nam stolicy. Reichstag, Pałac Büringa i inne budowle leżały w gruzach. Staliśmy tam kilka dni. Potem jazda do Velten za Berlinem i stale jazda, bez przerw jazda. Przewoziliśmy dalej żywność, paliwo i mąkę. Jeździliśmy aż do Warszawy. Później coraz bliżej, bliżej Łodzi, Torunia, Bydgoszczy i Poznania, a nawet gdzieś z zapadłej stacji kolejowej. Nie wspominałem o naszych dowódcach.

Dowódcą batalionu był por. Litwinow, kwatermistrem kpt. Kapitonow, obaj oficerowie radzieccy. Byli oni dzielnymi oficerami i z podejściem do żołnierza i od nich nie potrzeba było rozkazu, a wystarczyło tylko słowo. Zastępcą dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych był Polak, nazwiska nie pamiętam. Sierżanci byli szefami kompanii. I tak sierżant Smuga i jeszcze jeden, byli to przedwojenni podoficerowie. Ze sztabu dywizji najbardziej nam znany, z którym mieliśmy najwięcej do czynienia to kwatermistrz dywizji mjr Fiedosiejenko, oficer bezpardonowy, dla którego nie było do pomyślenia, że coś nie było możliwe do wykonania.

W czerwcu 1945 r. miejscem postoju batalionu była miejscowość Płatków. Wojska były w ciągłym ruchu, aż zakwaterowały się w okolicach Płatków. Dla batalionu czas nastał trochę spokojny. Niemniej do nas należało zaopatrzenie 5 Dywizji w żywność i paliwo do pojazdów oraz ciągników artyleryjskich. Jazdy były dalekie i ciężkie, szosy nie takie jak dziś, a jeszcze zniszczone okresem wojennym. Nastąpił przegląd pojazdów i odbiór kilkudziesięciu nowych amerykańskich „Studebakerów”. W lipcu nastąpił powrót do Polski i uroczysty wjazd na miejsce postoju w Toruniu na Rudaku. Dywizja rozlokowała się w okolicach Gorzowa Wielkopolskiego, naszym zadaniem było dalsze zaopatrzenie.

W niedługim czasie sztab 5 Dywizji i jedna z brygad rozlokowały się w Toruniu, jedna w Gnieźnie i jedna we Włocławku.

Jesienią 1945 r. nastąpiła reorganizacja do stanu pokojowego i tak, dywizję przemianowano na 13 Warszawską Brygadę Artylerii Ciężkiej, brygady na pułki itp.

Nasz batalion rozlokowano po pułkach i mnie i pięciu kolegów przekazano do plutonu dowodzenia brygady. Dowódcą plutonu był por. Biliński. W plutonie dowodzenia dostałem przydział na kierowcę szefa sztabu, płk. Kozłowskiego. Dowódcą brygady był płk dypl. Pewiszkis Włodzimierz, oficer radziecki, Polak z pochodzenia.

Wiosną 1946 roku odkomenderowano mnie do dyspozycji d-cy brygady, wyposażony w stałą, miesięczną przepustkę do poruszania się bez ograniczeń w czasie i miejscu, broń krótką „TT”, i trzy samochody osobowe: „Horch” ośmiocylindrowy, mercedes szóstka, oba kabriolety, i opel olimpia. Jazd z tak poważnym oficerem było dużo, a pojazdy były mocno sfatygowane i trzeba było doprowadzać je do takiego stanu rzeczy, aby każdy o każdej porze dnia czy nocy był gotowy do jazdy.

Wyżywienie na pułkownikowej kuchni, kwatera prywatna. Po dotarciu się dwóch osób do siebie, które stale ze sobą przebywały, doszło do tego, że my dwaj bez siebie nie mogliśmy się obyć. Nastąpiła pewna poufałość dozwolona na pewnej płaszczyźnie, dozwolona między oficerem a podoficerem, gdyż w międzyczasie otrzymałem awans na kaprała, koledzy też. Ja i koledzy otrzymaliśmy również odznaczenia „Brązowe Krzyże Zasługi”, Medale Zwycięstwa i Wolności oraz odznaki Grunwaldu. Wiosną 1946 r. ppłk Pewiszkis został przeniesiony na stan Inspektora Art. DOW I w Warszawie i ja razem z nim z przydziałem do Pierwszej Kompanii Samochodowej DOW I Fort Wola, pluton samochodów osobowych z miejscem postoju przy ul. Zbawiciela.

Przy końcu maja 1947 r. płk Pewiszkiś powrócił do Związku Radzieckiego. Byłem bez przydziału. Dnia 5 lipca 1947 r. zostałem zdemobilizowany. Otrzymaliśmy cywilne garnitury z obuwiem i bielizną. Zrezygnowałem z warszawskich propozycji objęcia posady i wróciłem do rodziców w Targowicy k/ Mogilna, gdzie ojczym przeprowadził się z poprzedniego miejsca zamieszkania. W czasie reformy rolnej był likwidatorem majątków ziemskich. Pobrał również siedmiohektarową działkę na siebie i 10 hektarów na mnie, którą wkrótce z braku siły pociągowej, sprzętu oraz pieniędzy na zakup zdałem z powrotem do Skarbu Państwa. Brałem czynny udział w życiu społecznym wsi. Pomimo, że byłem obcy środowiskowo już w latach 1950 - 52, pełniłem funkcję prezesa gromadzkiego koła „Samopomocy Chłopskiej”. Byłem również członkiem koła Frontu Jedności Narodu w Wylatowie k/ Mogilna. Wracając do 1948 roku, na komisji lekarskiej w Poznaniu zostałem uznany za inwalidę wojennego niskoprocentowego.

W grudniu 1952 roku ożeniłem się w Mogilnie ze Stefanią Seidler, córką kolejarza, który był w pierwszym okresie okupacji hitlerowskiej wysiedlony z pięciorgiem dzieci do GG za przeciwstawianie się kolonizacji niemieckiej w Mogilnie, pozostawiając cały swój dobytek, którego po powrocie nie zastał.



*Zdzisław Zylla wraz z małżonką Stefanią z domu Seidler*

Ja w 1953 roku rozpocząłem pracę na PKP w Bydgoszczy jako strażnik SOK Oddział Lotny. W 1957 roku przenieśliem się na stację do Mogilna, na stanowisko nastawniczego do listopada 1975, tj. do chwili przejścia na rentę z powodu ogólnej utraty zdrowia.

W czasie pracy zawodowej na PKP w Mogilnie od 1960 roku pracowałem społecznie w radzie Związku Zawodowego Pracowników Kolei PRL, jako członek plenum, potem skarbnik, a od sierpnia 1970 roku do lutego 1976 roku jako Przewodniczący tejże rady zakładowej, za co dostałem list pochwalny z Zarządu Głównego ZZK. Otrzymałem również odznaczenie resortowe - odznakę „Przodujący Kolejarz”. Członkiem PZPR jestem od lutego 1956 r. Należę nadal do Związku Zawodowego Kolejarzy. Jestem długoletnim członkiem Związku Inwalidów Wojennych, Koło w Mogilnie, gdzie jestem również długoletnim członkiem zarządu. Od listopada 1974 roku jestem członkiem ZBoWiD, Koło w Mogilnie, gdzie również zaangażowano mnie do pracy społecznej i powierzono pełnienie obowiązków Przewodniczącego Komisji Socjalno-Bytowej do chwili obecnej.

Dnia 7 maja 1976 r. otrzymałem z WKU Inowrocław awans na plutonowego. W listopadzie 1976 r. przeszedłem na rentę w drugiej grupie utraty zdrowia. W marcu 1977 r. komisja lekarska uznała mnie za inwalidę wojennego w trzeciej grupie. W związku z tym, korzystając z dobrodziejstw ustawy przeszedłem na emeryturę. Z dzieci mam dwie córki i są to: Ewa, ur. 1954 r., po liceum ekonomicznym, jest pracownicą WSS „Społem” o/ Mogilno i Danuta, ur. w 1958 r., kończąca w obecnym roku Medyczne Studium Zawodowe – analityka.

Ze swej przynależności do AK oficjalnie przed władzami PRL się nie ujawniałem. Nie byłem politykiem. Byłem tylko żołnierzem i Polakiem, ale pełniąc służbę w LWP nie ukrywałem swojej działalności okupacyjnej. Doniosło się to do WSW, zwanej przez nas „Informacją”. Zostałem wezwany na przesłuchanie po czym zwolniono mnie bez żadnych sankcji, a takie też były.

Za całokształt swej działalności wojskowej i prace społeczne otrzymałem niżej wymienione odznaczenia i dowody uznania:

1. 09.05.1946 r. Dyplom do Medalu „Zwycięstwa i Wolności” na leg. 036089, z powodu uszkodzenia przez czas uzupełniony legitymacją nr 20892 z 13.04.1976 r.
2. 30.06.1946 r. „Odznaka Grunwaldzka” nr leg. 030255
3. 12.11.1946 r. „Brązowy Krzyż Zasługi” nr leg. 42442/18169
4. 05.05.1974 r. „Medal Za Udział w Walkach o Berlin” nr leg. 101864
5. 17.12.1975 r. Medal „Za Warszawę” nr leg. 2292-75-142
6. 09.05.1976 r. Honorowy awans na starszego plutonowego – rozkaz Komendanta WKU Inowrocław nr 4
7. 30.10.1976 r. Brązowy Medal „Zasłużonych na polu chwały” nr leg. 860-76-125
8. 10.09.1972 r. Srebrna Odznaka „Przodujący kolejarz” nr leg. 145/72
9. Lipiec 1974 r. List uznaniowy Zarz. Gł. Zw. Prac. Kol. PRL
10. Sierpień 1977 r. Dyplom uznania Zarządu Woj. ZBoWiD w Bydgoszczy
11. Marzec 1980 r. Dyplom uznania Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD w Bydgoszczy za szczególnie aktywną pracę społeczną w naszej organizacji kombatanckiej.

Tyle by było z moich wspomnień od roku 1939 do chwili obecnej. Pisane może nie po literacku, trochę chaotycznie. Starłem się zachować kolejność zdarzeń i przeżyć, ale opisałem fakty, miejsca, ludzi prawdziwych oraz rzeczy, które mogą ulec sprawdzeniu.

Niejedno zatarło się w pamięci, a zwłaszcza daty, nazwiska czy miejscowości i ulice. Spowodował to upływ czasu, a także choroby i wiek, np. w roku 1939 miałem 17 lat. Nie mogę pracować zawodowo, ale staram się być jeszcze użyteczny w innych pracach, np. na rzecz środowiska kombatanckiego, z którym mam powiązania, choć i to czasem przychodzi z trudem. Pomimo jeszcze niestarego wieku, a normalnie to jeszcze wieku produkcyjnego.

***Zyła Zdzisław, Mogilno, styczeń 1978 r.***

## Uzupełnienie do Relacji - Wspomnień

Jak już wspominałem poprzednio na str. 10, posiadany wówczas wiek, upływ czasu i choroby zatęrzy niejedno w pamięci. Bywają jednak zdarzenia, które przywracają w mej pamięci świadomość jakiegoś okresu. Tak też się stało. W pierwszych dniach sierpnia 1979 roku otrzymałem z Warszawy wiadomość od Rowińskiej Reginy - „Wisły”, że w Łowiczu 12 sierpnia 1979 r. odbędzie się spotkanie byłych członków i żołnierzy Kompanii Ziemi Sochaczewskiej u pchor. „Bogusława” - Klimczoka Tadeusza, organizatora spotkania.

Dawno oczekiwałem takiego spotkania i pragnąłem spotkania z towarzyszami walki z okupantem. Powiadomiłem Silskiego Mariana - „Fergus” z Poznania i pojechaliśmy razem do Łowicza pod wskazany adres. Serdeczne i wzruszające było powitanie dawnych kolegów doli i niedoli, tym bardziej dla mnie, gdyż jeden z nich, tj. „Brodzie” - Kaliński był tym, który razem z „Zygfrydem” mnie rannego podjęli z ulicy do placówki. Spotkanie miało charakter towarzyski. Po zwiedzaniu miejscowego muzeum dalsza część spotkania odbyła się w mieszkaniu pchor. „Bogusława”. Wówczas rozwinęły się wspomnienia przeżytych chwil i epizodów „a czy pamiętasz to lub tamto?”. Od Puszczy Kampinoskiej poprzez Powstanie Warszawskie, uczczenie poległych, aż do chwili obecnej. Także w końcu dnia by zabrakło, a trzeba było wracać do domu, a droga daleka.

W spotkaniu wraz ze mną wzięli udział:

1. Klimczok Tadeusz - „Bogusław” - organizator spotkania
2. Rowińska Regina - „Wisła” - łączniczka i sanitariuszka
3. Nagłowska Lucyna - „Lucyna” - radiotelegrafistka
4. Kaliński Jan - „Brodzie”
5. Ptaszynki Henryk - „Janusz”
6. Cieplak January - „Janusz”
7. Silski Marian - „Fergus”

Trzeba by też wspomnieć o Wielogórskiej Genowefie - „Hybrydzie” Hybrydzie Sochaczewa — siostrze Lucyny Nagłowskiej, która z powodu dolegliwości nie mogła przybyć. Wszystkie osoby, które wspominałem poprzednio w „Relacji” i obecnym uzupełnieniu mogą dać świadectwo prawdzie opisanej przeze mnie.

*Marzec, 1980 r.*